

POLSKI SYBIR. MITY I RZECZYWISTOŚĆ

Od co najmniej czterech stuleci, a już zwłaszcza w okresie porozbiorowym „Sybir” nie był dla Polaków pojęciem ściśle geograficznym – choć oczywiście geograficzne terytorium Syberii obejmował. Ów Sybir stanowił w istocie sumę doświadczeń doznanych na rozległych obszarach cesarstwa rosyjskiego przez polskich zesłańców przemocą oderwanych od miejsc swego stałego zamieszkania. Obejmował zatem zarówno tereny przed Uralem – w świadomości społecznej były to na przykład gubernie archangielska i permska – Daleki Wschód, stepy kirgiskie, czyli dzisiejszy Kazachstan, jak i nawet Kaukaz, gdzie odbywali przymusową służbę Polacy wcieleni do korpusów specjalnych: czy to karnie – za udział w powstaniu listopadowym, czy z poboru, czy za uczestnictwo w spiskach okresu międzywojennego. Również w okresie II Rzeczypospolitej – jak i obecnie – do Związku Sybiraków należą wszyscy zesłańcy, zarówno ci, którzy byli na Syberii, jak i ci, którzy poznali daleką północ Rosji, stepy Kazachstanu, czy pustynie Uzbekistanu. Samuel Peszke na przykład, który jako jeniec z wyprawy Napoleona spędził zimę w guberni saratowskiej i był przeświadczony, iż wywieziono go na Syberię i narzekał na mróz i dokuczliwe „syberyjskie wiatry”; z kolei spis oficerów wysłanych do guberni wiackiej po klęsce powstania listopadowego, wydany w Krakowie w 1867 roku, nosi tytuł *Poczet skazańców na Sybir do guberni tylko wiatskiej z powstania roku 1830/31, sporządzony w Wiatce 1832 r.* Informacje na temat Syberii i losu zesłanych tam Polaków długo były zupełnie nieznane, powoli kształtowała się czarna legenda Sybiru, jedynie częściowo znajdująca potwierdzenie w rzeczywistości.

Zatrzymam się wszelako na wieku XIX, jako że – jak się zdołałam zorientować z programu – większość uczestników konferencji i obecnych na niej interesuje się przede wszystkim XX stuleciem i represjami stosowanymi wobec Polaków po przewrocie bolszewickim, a zwłaszcza po roku 1939.

Wiek XIX nie jest zresztą pod tym względem jednolity. Niewiele wiemy o pierwszych spiskach końca XVIII stulecia: – doby przed- i ponapoleońskiej, choć mamy możliwość zapoznania się ze znakomitym pamiętnikiem Faustyna Ciecierskiego (*Znaczniejsze przypadki pewnego z Syberii powrotnego Polaka w roku 1801 roku*), wydanym w roku 1998 przez Antoniego Kuczyńskiego i Zbigniewa Wójcika. Jednakże dopiero niedawno dr Zofia Strzyżewska odnalazła materiały świadczące o tym, za co skazany został przeor dominikanów wileńskich i jego współtowarzysze.

Nie wszyscy interesujący się problematyką zesłańczą pamiętają, że w Królestwie Kongresowym, powołanym do życia za sprawą Aleksandra I na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku i istniejącym do wybuchu powstania listopadowego 1831/32, obowiązywała konstytucja, a cesarz rosyjski koronował się na króla polskiego, toteż przestępcy – pospolici i polityczni – odbywali kary na terenie swego kraju. Walerian Łukasiński także skazany został na więzienie w Zamościu (potem w kilku innych miejscach) i dopiero podczas powstania zabrany został z wojskiem wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, by spędzić następne 37 lat w Schlisselburgu. Pozostali członkowie Towarzystwa Patriotycznego zostali uniewinnieni przez Sąd Sejmowy, a w Syberii Zachodniej znaleźli się jedynie polscy poddani z tak zwanych ziem zabranych z Sewerynem Krzyżanowskim na czele. Obecnie przygotowujemy tomy poświęcone Wolnomularstwu Narodowemu i Towarzystwu Patriotycznemu w tzw. zielonej serii i mamy nadzieję, że niektóre dotąd nie do końca wyjaśnione epizody – zwłaszcza ich zesłańczego losu – uda się wyświecić. Nie będę powtarzać wielu istotnych spraw, które ja i moi koledzy wyjaśnili, a więc na przykład za co można było być w XIX wieku skazanym na Sybir, czy też jakie rodzaje kar czekały uczestników spisków. Zaznaczę jedynie, że kary były – z naszego punktu widzenia – niewspółmierne do przewinienia, a do reformy wojskowej bynajmniej nie katorga – jak się powszechnie myśli – była najcięższym wyrokiem, lecz wcielenie do wojska. W armii w trudnych warunkach, marnie karmieni, odbywali służbę zarówno rekruci, jak i karnie tu wcieleni „przestępcy polityczni”. Píše o tym na bogatym materiale Wiesław Caban.

Jednakże najstraszniej- szą groźbą była w owym czasie kara chłosty – „zielona ulica”, która dla niejednego kończyła się śmiercią. Przykładów można przytoczyć wiele ze spiskiem omskim na czele, o którym wydaliśmy jeden tom „zielonej serii”, a ja sama pisałam w książce o *Ucieczkach z Sybiru*.

„Urlopnicy”, którzy po 15 latach mogli wrócić do kraju (i w każdej chwili być powołani na nowo na dalsze lat 10), byli przeważnie wynarodowieni (nie mówiąc o tych, którzy na terenach Cesarstwa pozostali) i cieszyli się marną opinią (dało to o sobie znać zwłaszcza w czasie powstania styczniowego). Sytuacja uległa radykalnej zmianie po reformie wojskowej Milutina: jak przekonująco pisze autor przygotowanej do druku książki Jacka Legucia na ten temat, skrócenie czasu służby, zniesienie zakazu stacjonowania na terenie kraju, zezwolenie na porozumiewanie się w języku polskim (i innych mniejszości), a także na udział w nabożeństwach rzymsko-katolickich – wszystko to sprawiło, iż rezerwiści nie tracili łączności z krajanami i mieli poczucie swej odrębnej tożsamości. A wszystko to w czasach Hurki i Apuchtina w Nadwiślańskim Kraju!

Chciałabym teraz kilka słów powiedzieć, jak wyglądała katorga i osiedlenie na Syberii, przede wszystkim Wschodniej, bo tam kierowano większość syberyjskich skazańców. W istocie „przedpiekłem” była sama droga katorżników, zwłaszcza „piesze etapy” – nic dziwnego, że w pamiętnikach zajmuje ona znaczną część miejsca. Zamożniejsi jechali na powózkach, ale przeżycia w specjalnych więzieniach („ostrogach”) – na etapach i półetapach – zapisywały się przede wszystkim w pamięci: tłok i obecność kryminalistów, ich język, upiorne zachowanie były głównym utrapieniem. Nie zawsze zresztą – zdarzało się, że oficerowie byli łagodniejsi i skłonni do brania łapówek, co ułatwiało życie.

Dopiero na miejscu spodziewano się „piekła”, katorżniczej pracy, zależności od tępych sadystów. Tymczasem rzeczywistość okazywała się zupełnie inna: koszmarem i utrapieniem była nie praca ponad siły, lecz oderwanie od domu, straszliwa odległość, zakaz pisania listów, często nieznanostwo języka. Owszem, zdarzały się przypadki wyjątkowe, jak choćby katorga w twierdzy Omsk, na której znaleźli się w drugiej połowie XIX wieku Fiodor Dostojewski i kilku Polaków, między innymi Szymon Tokarzewski. Obaj opisali swoje przeżycia, do czego jeszcze wrócę.

Większość polskich katorżników pierwszej połowy XIX stulecia, można rzec, spadła tamtejszym urzędnikom z nieba. Byli to przeważnie ludzie wykształceni, jeśli nie w pełni, to częściowo, a takich właśnie na Syberii brakowało. Nic przeto dziwnego, że komendant Usola Andriej Mewius zatrzymał przy sobie dwóch katorżników: Juliana Sabińskiego i Leopolda Niemirowskiego, aby uczyli jego progeniturę języków, rysunków, muzyki. To samo miało miejsce w najgroźniej brzmiących Zakładach Nerczyńskich. Tu także nie ciężka praca była największą dolegliwością. Za najbardziej wymowny przykład może służyć dr Antoni Beaupré z Krzemieńca, który z biegiem czasu prowadził Dom Polski, w którym stołował wielu kolegów, urządzał wspólne Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia, a także rocznice śmierci Szymona Konarskiego, straconego w Wilnie, oraz trzeci maja. Z zachowanych ksiąg rachunkowych dowiadujemy się, co na te uroczystości zamawiano (a kupowano niemało!), a także jakie były inne wydatki, na przykład na ławki dla policmajstra. Dr Beaupré prowadził spory dochodowy majątek, a kiedy przychodziły żniwa, zamawiał do pracy rotę żołnierzy i za ich pracę płacił do skarbu to, co się należało. Z kraju Xawera Grocholska i Róża Sobańska przysyłały systematycznie odzież, pieniądze, książki, materiały do rysunków. Historia owego Komitetu Pomocy jest zaiste niezwykła, nie starczy jednak czasu na jej opowiedzenie. Za katorżników listy pisały wspaniałe kobiety, które wyruszyły na Sybir za swymi mężami i narzeczonymi, i stworzyły dla nich oraz innych zesłańców „polskie domy”. I znowu można by o nich długo opowiadać.

Po okresie wyznaczonym na katorgę (a czasami wcześniej lub później) skazani przenoszeni byli na osiedlenie. Nie zawsze okazywało się to dogodne: katorżnik miał zapewnioną odzież (letnią i zimową), jedzenie lub pieniądze na ten cel; osiedlenie było skazany na samego siebie, na znalezienie sobie pracy, by się utrzymać. Często pracę zapewniali osiedleńcom koledzy (na przykład ściegieńszczykom – wspomniany dr Beaupré i inni).

Z pomocą przychodziły tak zwane ogóły, organizacje, na które władze patrzyły przez palce. Do ogółów wpłacano składki, w zależności od możliwości zesłańcy, tam też gromadzono środki nadsyłane z kraju. I znowu powiem, że każde zdanie, jakie wypowiadam w niniejszym komunikacie, można by długo i szczegółowo ciągnąć. Na szczęście można o prawie każdej z tych spraw znaleźć już dziś co najmniej artykuł.

Wszyscy zesłańcy pierwszej połowy XIX wieku – z nielicznymi wyjątkami – wrócili do kraju na

mocy amnestii Aleksandra II z 1856 roku. I znowu o tych powrotach można by wiele powiedzieć, gdyż nie wszystkie były tak radosne, jak by się mogło zdawać.

Nie minęło wszakże pięć lat, kiedy w tę samą drogę wyruszyły następne pokolenia: początkowo (i na ogół na krótko) uczestnicy manifestacji patriotycznych 1861 roku, a za nimi powstańcy styczniowi. Znowu powtarza się identyczna sytuacja: straszna droga, a potem nader zróżnicowany los. W Usolu, nazywanym Arkadią, znaleźli się żonaci (tym razem żony mogły towarzyszyć skazańcom), na ogół osoby zamożniejsze. Były wśród nich także kobiety skazane wyrokami sądów wojskowych – był to pierwszy przejaw równouprawnienia w cesarstwie: dotychczas kobiety traktowano łagodniej, wysyłano do klasztorów, a jeżeli na zesłanie – to trybem administracyjnym. Najciężej było wysłanym do kopalni złota, zwłaszcza w dalekiej Jakucji, ale i tam niektórzy potrafili się jakoś urządzić i wspominani są po dzień dzisiejszy. Niejeden wrócił po latach z zapasem złota, które posłużyło do inwestycji, na przykład dzięki temu powstała pierwsza parowa stolarnia Muranych w Krakowie.

O powstańcach styczniowych istnieje przebogata literatura: monografie, rozprawy, publikacje wspomnień. Prowadzona przez ponad dziesięć lat kwerenda przyniosła nie tylko liczącą 40 tysięcy nazwisk kartotekę i opracowywaną, niestety, bez końca, bazę danych, lecz również liczne monografie. Można śmiało powiedzieć, że wszyscy uczestnicy kwerend, zarówno z polskiej strony, jak i z Federacji Rosyjskiej, wykorzystali szansę, jaką dawał udział we wspólnych pracach, by następnie opublikować prace doktorskie (kandydackie), które rozszerzają naszą wiedzę o losach polskich uczestników powstania styczniowego na obszarach cesarstwa rosyjskiego. O każdej z nich mogłabym długo mówić. Ostatnio Eugeniusz Niebelski uradował nas monografią poświęconą duchownym katolickim skupionym po pewnym czasie w miejscowości Tunka; ich losy, choć ukazane w nader obiektywnym świetle, zdają się świadczyć, iż było to grono bodajże najsurowiej potraktowane.

Jednakże nawet jeśli dokonamy wyboru najbardziej tragicznych przypadków, nie upoważni to nas do nazywania autorytarnego systemu carskiego cesarstwa – totalitarnym, a represji, jakim poddawano „buntowników” – Carskim Gułagiem (taki tytuł ma jedna z francuskich monografii, ostro skrytykowana przez Elżbietę Kaczyńską). Budzi mój opór także stanowisko wybitnych badaczy, takich jak Jan Kucharzewski czy Richard Pipes, którzy w łagrach i deportacjach sowieckich widzą kontynuację systemu kolejnych carów. Celem zsyłek wieku XIX była nie eksterminacja, lecz izolacja, a po drodze także kolonizacja syberyjskich guberni. Wszystkie kategorie zesłańców miały zapewnioną elementarną egzystencję: miejsce zamieszkania, odzież, pożywienie (katorżnicy), ziemię do uprawy (urodzajną!) i pożyczkę na pierwsze potrzeby (osiedleńcy i skazani na osadzenie [*wodworieni-je*]). *Nota bene* o tych ostatnich wiemy najmniej.

Wystarczy sięgnąć do *Wspomnień z domu umarłych* Dostojewskiego i porównać je – jak to czyni Wałam Szalamow i nie tylko on – z sowieckimi obozami. Żadnemu z carskich urzędników nie przyszłoby do głowy pozostawić przybyłych w gołym stepie, by sami stawiali sobie lepianki; nigdy nie zmuszano do pracy ponad siły w miejscach jeszcze nie oswojonych przez człowieka. Z żadnego sowieckiego łagru nie wyłonili się uczeni – jak Dybowski i jemu podobni – choć trudno sądzić, by nie było tam utalentowanych ludzi. To też jest problem, który mogłabym długo roztrząsać.

Czas jednak kończyć. Jedno jest pewne: nie powinniśmy dziejów polsko-rosyjskich pozostawiać rusofobom i entuzjastom materiałów policyjnych, z których warto korzystać, zawsze mając na uwadze ich specyficzny charakter.

WIKTORIA ŚLIWOWSKA, prof. dr hab., pracownik Pracowni Dziejów Inteligencji w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk im. Tadeusz Manteuffla. Specjalizacja: historia Rosji, zwłaszcza epoka Mikołaja I. Autorka książek: *Sprawa Pietraszewców* (Warszawa 1964); *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców styczniowych. Wilno – Sybir – Wiatka* – Warszawa (Warszawa 2000) oraz *Ucieczki z Sybiru* (Warszawa 2005). Ostatni wydała zbiór studiów: *Historyczne peregrynacje. Szkice z dziejów Polaków i Rosjan w XIX wieku* (Warszawa 2012).